



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

OGRODY BOTANICZNE.

skreślił

Edmund Jankowski.



Pewności nieraz, kochani czytelnicy, byli spacerem w Botanicznym ogrodzie. Czy wiecie jednak jakie on ma znaczenie i do czego służy? Może wiecie, ale nie wszyscy i nie tak dokładnie, jakby się godziło, pozwólcie więc, żebym był waszym przewodnikiem w tej materii. Zajmuje ona teraz umysły wielu, ponieważ ogród nasz Botaniczny przechodzi taką chwilę krytyczną, która może stanowić

o jego przyszłym bycie. Gdy wyjdziemy w początku lata poza miasto na przechadzkę, uderza oczy nasze wspaniały widok

pól uprawnych, kwiecistych łąk i szumiących lasów. Niemala roślin które się składają na tę bogatą szatę, posiał człowiek dla swojej potrzeby. Na ilość jest ich mnóstwo, chociażby tylko zbóż samych i roślin okopowych, takich jak ziemniaki, buraki cukrowe, a wreszcie na paszę służące dla bydła koniczyny, lucerny i t. p. Lecz na ilość form różnych, czyli gatunków i odmian, niekna one wobec tego, co Bóg tak hojnie rozrzucił po ziemi, co nasycza oczy nasze tysiącami tysięcy form i barw, napawa powonienie tyloma woniami. Suknia przyrody utkana jest z milionów różnobarwnych roślin, zdobnych

w kwiaty o wszystkich barwach tęczy. Nawet wśród zbóż, które człowiek z takim staraniem pielęgnuje, wyrastają nieproszone i niepożądane liczne bławatki, kłakole, ostróżki, groszki, wyki i miotły (*Apera spica venti*). Nawet wśród łąki, troskliwie obsianej koniczyną i branką, tysiączne inne trawy i zioła wyrastają samodzielnie: cieciorczki, nostrzyki, mietlice, kłosówki, kostrzewy i wikliny, a wreszcie jaskry i szczawie — i tyle a tyle innych dobija się należnego miejsca, rośnie, kwitnie, nasiona wydaje.

Cóż dopiero gdy wejść na dziką, naturalną łąkę, lub leśną polankę. Jakież bogactwo, jaki przepych, który aż ćmi oczy! Bratki, smolki, dzikie gwoździki, niezapominajki, wierzbowki, barwice, gwiazdosze, dziurawce, bluszczki, pieniążki, zawilce i któż je zresztą wszystkie wyliczy, tak się ze sobą ucierają i płaczą, że niewprawne oko widzi tylko jedną pstrą kolorów mozaikę, zachwycającą, lecz trudną do rozebrania na pojedyncze składowe części.

W każdym przydrożnym rowie, w wodnej kałuży, bagnie, na piaszczystym pagórku, wszędzie rośliny i rośliny odmiennych form, różnej powierzchowności.

Gdybyśmy pojechali do Ciechocinka, który niegdyś był dnem morskim, a ziemię ma solami przepełnioną, napotkaliśmy w jego okolicy nowe znów formy roślin. Jeszcze nowe i często zupełnie do naszych niepodobne, ujrzelibyśmy w Bieśkidach, Pieninach i Tatrach.

Otóż każdą grupę roślin właściwych danej miejscowości, nazywamy *florą*. Zbierzmy wszystkie rośliny które na powierzchni kraju naszego rosną, a mieć będziemy florę Polski tak samo, jak może być flora Niemiec, Francji i t. p. Oprócz tego botanicy odróżniają flory swojskich stanowisk lub okolic, a i ta może być znowu karpacka, pirenejska, himalajska i t. p. Florą polarną zowie się roślinność krajów podbiegunowych — zwrotnikową, krajów pomiędzy dwoma zwrotnikami położonych i t. p.

Wszystko to dobrze, lecz jakież to ma związek z ogrodami botanicznymi?

A oto taki. Z początku ludzie zajmowali się tylko najbliższą sobie przyrodą i badali więcej florę okoliczną o ile ona może im dostarczyć pokarmu (zboża, bulwy) lub odzieży (len, konopie). Później poznali zbawienne działanie niektórych ziół, choroby leczących, oraz na rozmaite cele techniczne, np. do farbowania, na olej i t. p. przydatnych. Powoli zaczęto na potrzeby własne takie rośliny wykopywać z ich dzikich stanowisk i przenosić w pobliże siedzib, żeby je mieć pod ręką. Lecz rzadki podróżny lub kupiec, który w owych czasach pierwotnych w gościnę^{*)} zawitał, przynosił z odległych krajów nasiona lub korzenie ziół cudownych, na rany i nie-moce używanych, lub wybornego pokarmu czy przyprawy dostarczających. I te również z pod innego nieba pochodzące rośliny, próbowano hodować u siebie, przyswajając, co się z wieloma udało.

Szczególniej ci hodowali takie rośliny, którym one najbardziej były potrzebne, a więc lekarze przede wszystkim. Są u historyków wzmianki, że greccy, egipscy i perscy doktorzy, znali własności ziół wielu i hodowali je. Były to niejako pierwotne ogrody botaniczne.

Lecz ludzkość szła naprzód wielkimi krokami, cywilizacja szerzyła się coraz bardziej, coraz częstsze i liczniejsze podróże zdobywców lub awanturników, poznosiły użyteczne lub osobliwe rośliny z miejsca na miejsce. Podań tu ilość bardzo wielką, że dla przykładu przytoczymy denderę (*Datura*) którą z Indji do Europy mieli przynieść paryasowie (cyganie), lub czereśnię z Azji mniejszej do Włoch przez Lucullusa przywiezioną i wiele innych. Z czasem znaleźli się uczeni, którzy zapragnęli oprócz flory własnego kraju poznać też i inne, bądź to dla samej ciekawości, bądź też dla możliwości porównania jednych form z drugimi i ugrupowania ich według pewnych systemów. Zawiazywano tedy korespondencje z odległymi krajami, posługiwano się karawanami, wyprawami wojowników i odkrywców, okrętami handlowymi, słowem wszelkimi sposobami, by zdobyć nasionka lub mięsiste części podziemne roślin i we własnym posadzić je ogrodzie. A z jakimi nieraz walczone trudnościami, żeby daną roślinę przy życiu utrzymać, lub choćby tylko zdobyć! Misyonarze w wydrażonych laskach przenieśli podobno wanilię z Indji, ks. Camelle wioząc pierwszą kamelię z Japonii, podlewał ją w czasie podróży okrętą wodą, wydzielaną do picia, uszczuplając swą własną racyę;

nasiona wielu roślin zwrotnikowych wielokrotnie w drodze ginęły uduszone, bo je przez zbytek troskliwości w blaszanych umieszczono puszkach.

Któżby zresztą wszystkie przykłady wyliczył! Dosyć na tem, że zbiory rosły i rosły a z nimi doświadczenie kosztowne i skarbnica wiedzy. Okazało się, że mnóstwo roślin pożytecznych lub pięknych, daje się hodować w krajach bardzo odległych, o ile warunki pierwotnej ich i nowej ojczyzny są mniej więcej podobne. Tu także niemało zawdzięcza się się wypadkowi, a w ostatnich czasach — przez Humboldta *) stworzonej nauce o rozmieszczeniu (geografii) roślin. Znane są np. fakta, że pewne krzewy i drzewa, które dziś w parkach i gajach naszych swobodnie rosną, zrazu troskliwie w cieplarniach były hodowane (niektóre klony, orzechy, orzeszniki i wiele innych).

Sądzę, że temi kilkoma rysami wyrobiliśmy w umyśle kochanych czytelników pojęcie, jak i dla czego powstawały ogrody botaniczne. Zanim określimy dokładnie jak one się zakładają, jakie mają znaczenie dla nauki i praktyki w chwili obecnej, zobaczymy jakie przechodziły koleje historyczne.

(d. n.)

ZŁOTNIK KRÓLEWSKI,

OBRAZEK Z XIV W.

p. **Z. Morawską.**

(Dalszy ciąg).

III.

S K A R B.

Nie upłynęło i tygodnia a nad Dunaj, pod góry wyszehradzkie, ciągnęła ludzi moc wielka. Każdy z nich niósł mały łomoczek i rozmaite narzędzia do rozkopywania góry i wymierzania jej powierzchni. W onym czasie narzędzia te ograniczały się na mocno osadzonym na drzewcu, żelaznym szpadlu, takiejże motyce i ciężkim oskardzie. Za całe zaś narzędzie miernicze wystarczał sznur i kilka kołków.

Okolica w tej stronie mało była osiadła, w dolinie mieszkający ludzie mieli już swoje ciągle około licznych winnic zajęcie, robotników więc sprowadzono z dalszych okolic Węgier, boć rąk do pracy w rozległym tym kraju nie brakło. Nie brakowało też tam prawie nigdy i chleba, ale oto jakoś rok ubiegły nie był bardzo w zboże obfity a zima nader mroźna i ciężka; nic więc dziwnego że na wiosnę, na przednówku niejeden oglądał się skądby wziąć miarkę zboża lub kawał słoniny.

Idący więc z owymi narzędziami przychwalali sobie w ten sposób:

— Oj, mądryć to musi być ten król, co z dalekich krajów do naszej ziemi przybył, kiedy wymyślił robotę dla biednego ludu.

— Ba, mądry dla nas, a i dla siebie nie głupi, kiedy nie chce jako inni coraz w innym siedzieć zamku, ale każe osobny dla się zbudować.

— Przystałość, aby miał zamek, a nietylko on ale i panowie będący około niego każą budować zamki.

— A juści, a juści!

— Toć my idziemy pod przewodnictwem urzędnika hrabi Czakiego.

— A nas ten od Gary prowadzi!

*) Znakomity przyrodnik niemiecki.

— My dla Szenai budować będziemy domostwo.

— My zaś dla Tepelego.

I tak po kolei wymieniali dla kogo budować mają. A najliczniejsi chwalili się:

— My zaś dla samego króla! a idzie z nami jakiś majster, co aż z Włoch go król sprowadził.

— Nauczy nas roboty! — dorzucił inny.

— Nauczy! — potwierdzili drudzy — toć i to korzyść, że przy onych budowlach nie tylko będzie zarobek, ale i pięknego rzemiosła człowiek nabędzie — mówił ktoś z rozważniejszych,

— Alić to podobno, jakiś chłopak cudowne rzeczy królowi powiedział, a podobno i zakłete odkrył skarby — ozwał się ktoś z idących.

— Oj, szkodać, że nam tych skarbów nie zostawił — rzucił ktoś z westchnieniem.

— Jakto nie? — ozwał się głos jakiś.

Wszyscy zwrócili się w stronę mówiącego i przystanawszy, z zapartym oddechem w piersiach słuchali, gdzie są owe skarby dla nich pozostawione.

— Kędyż są, kędy?... — posypały się w końcu ze wszystkich stron pytania, gdy obiecujący skarby milczał uparcie.

— Wejdzmy no na szczyt, a weźmy się do roboty, to się i skarb znajdzie — rzekł wreszcie.

A był to Nenus, człek stary, co znać nie jedno widział na świecie; wierzyć mu można było.

Każdy więc z podwójną ochotą wchodził na górę, a brał się rażno do pracy, którą mu przewodniczący wyznaczili.

— A kędyż się ów skarb znajdzie, kędy? — pytano po dniu pierwszym pracy.

— No, no, przecież o skarb nie tak łatwo, trzeba się dobrze napocić i karku przygiąć nim się go odnajdzie — pocieszał stary. — A że jest, to pewna! — dorzucił.

Pracowano więc ochotczo, puste i dzikie w niektórych miejscach góry, zaroiliły się szalasami ludzi na robotę przybyłych.

Wierzchołek góry zrównany został, mury zamku królewskiego wyrastały szybko, a na wschód, zachód, północ i południe, rosły też zamki panów. Oprócz owego Włocha, który szedł zaraz z robotnikami, powoli napływało dużo robotników i z innych narodów. Sprowadził ich król, sprowadzali i panowie, boć nie chcieli aby ich zamki były gorsze od królewskiego. Robotnicy więc uczyli się rozmaitych rzemiosł, jedni ociosywali ogromne kamienie i spajali je jakąś mieszaniną przez Niemca wymyśloną, inni pod kierunkiem Włocha wyrzynali na pięknym marmurze ozdoby, Anglik—cud na cudy — delikatne, przejrzyste kawałki szkła kazał oprawiać w ołów i robić z niego okna, a kiedy mury już stały i wewnątrz rozmaitych dokonywano ozdób, Francuz uczył jak te ozdoby wyrzynię pod kierunkiem Włocha przybijając i złociąc, aby wewnątrz odbijało światło podobne do promieni słonecznych. Niejeden wspominał o owych przybiecanych skarbach, oglądał się za nimi, a starzec wciąż powtarzał:

— Znajdzie się, znajdzie! niechaj tylko zamki staną.

Ale byli tacy, co się i na skarby nie oglądali, głód im nie dokuczał, na grzbiecie mieli dostatnie w dni odpoczynku odzienie, grosz niejeden schowany w mieszk, a oto z resztek od onych zamków, tak król jako i panowie pozwolili im, gdy dokończą zamku, dla siebie domostwa stawić. Ba, przecie i rzemiosło, którego się nauczyli, to także coś znaczy!

Nieraz tylko mówili sobie:

— Co się stało z owym chłopakiem, co tak królowi posługiwał na owej górze, a cudowne rzeczy miał opowiadać, a i skarby one pokazał?

— Wiadomo — mówili inni — toć to pewno był jeno duch, a jako się pokazał tak i zniknął, boć tylko duchy wiedzą o skarbach a cudowności mówią.

— Podobnoć się *erös* (siła) nazywał — mówili inni.

— Ba, i siłę mieć też musiał, kiedy do króla przemówić się nie bał a skłonił go do tej budowy.

— Niechaj mu się tam dobrze dzieje, jeżeli gdzie jest chudziatko na świecie — dodawał inny.

— Jest, czy też jako duch cudowny zniknął, zawsze on musiał być dobry, bo się jak przystało na chrześcijanina przeżegnał, a i wszystko w Imię Boga poczynął, jako Kosza giermek królewski rozповідаł.

Tak sobie robotnicy mówili, a zamek królewski rósł na owej górze a wieżycami strzelał w obłoki, zdawał się nieba dosięgać. A mury były grube z wielkich kamieni, co je przyciągnęli ze stron dalekich i z cegły tak czerwono wypalonej, iż zdawała się ciągle ogniem płonąć. Baszty były obszerne, setki ludzi mogły pomieścić a patrzyły okienkami, z których bezpieczne można było rzucać pociski, gdyby się znalazł taki śmiałek, coby pod królewską siedzibę podciągnął. Prócz tego zamek cały otoczony był u stóp gór murem kamiennym, a szumiący Dunaj był naturalną przed wszelkim napadem obroną.

I zamki panów były obronne, a tak przy królewskiej jako i przy panów siedzibie, tuliły się mniejsze domki, bo każdy z pracujących chciał mieć też swoją siedzibę, a Francuz, Anglik, Niemiec i Włoch widząc, że ich robota popłaca na węgierskiej ziemi, osiadali, prowadząc swoje rzemiosło. I oto w niedługim czasie owe góry nad Dunajem dźwigały na swoim grzbiecie całe miasto, które spoglądając ze swoich wyżyn na całą węgierską ziemię, nazwało się Wyszehradem.

Aleć takie miasto nie mogło od roku wyrosnąć jako grzyb po deszczu, trzeba było na to czasu, ba, i nie małego. A chociaż jako Karobert przyrzekł, zaraz tej samej jesieni r. 1309, wyprawił na zamku polowanie, były to dopiero fundamenta ledwie założone, a jedna tylko izba na przyjęcie króla i jego gości tymczasowo skończona.

(d. c. n.)

BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. JUMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

James twierdził, iż jaja alk są nadzwyczaj smaczne; znalazłszy kilka świeżych w niedawno zbudowanym gnieździe, wypił je z apetytem. Inżynier, choć gorąco zachęcany przez sternika, nie dał się jednak namówić do skosztowania tego naturalnego specyjału.

Powierzchnię skał zalegał gruby pokład guana, nagromadzonego od wieków przez miliardy ptactwa. Na użyźnionym w ten sposób gruncie, gdzie nigdzie z pośród kępek mchu podnosiły nieśmiało główki nikłe okazy flory podbiegunowej; była tam *umbilicaria acetica*, *cetraria nivalis*, a nawet *rhyssocarpon geographicum*. Zieloność tych małych roślinek mile odbijała od monotonnego łańcucha dolerytowych skał.

Z punktu, w którym zatrzymał się Ford, wzrok mógł ogarnąć znaczną przestrzeń; u podnóża spadzistej ściany leżał drzemiący w lodowych okowach ocean; tutaj zaczynała się odkryta przez kapitana szolla. *) Poza szczytami wyniosłych gór lodowych widniała gładka stosunkowo powierzchnia lodu, ginąca gdzieś w mgłę na horyzoncie.

Ford, wydobywszy z kieszeni lunetę, szukał najwygodniejszego przejścia w tym chaosie.

— Zdaje mi się, iż szolla ta rozciąga się przynajmniej na 40 kilometrów od brzegu — rzekł zwracając się do inżyniera; — powinienes się pan nauczyć, jak się rozpoznaje zdala, po kolorze nieba, gatunek lodu, zalegający powierzchnię oceanu.

*) Jestto olbrzymia kora, pochodzenia morskiego, rozciągająca się często na kilkanaście mil wszędy i wzdłuż.

My marynarze w swych podróżach podbiegunowych często korzystamy z tych wskazówek. Czy pan widział tę lśniąca pręgę z żółtym odcieniem? Jestto niezaprzeczony dowód sąsiedztwa pola lodowego; otwarty ocean zabarwiłby horyzont szafirowo a nawet zupełnie czarno; pędzony lód daje na niebie czysty, biały kolor, młody zaś powstający na jesieni zdradza się przez szarawy odcień.

— Czy lód tu jest mocny?

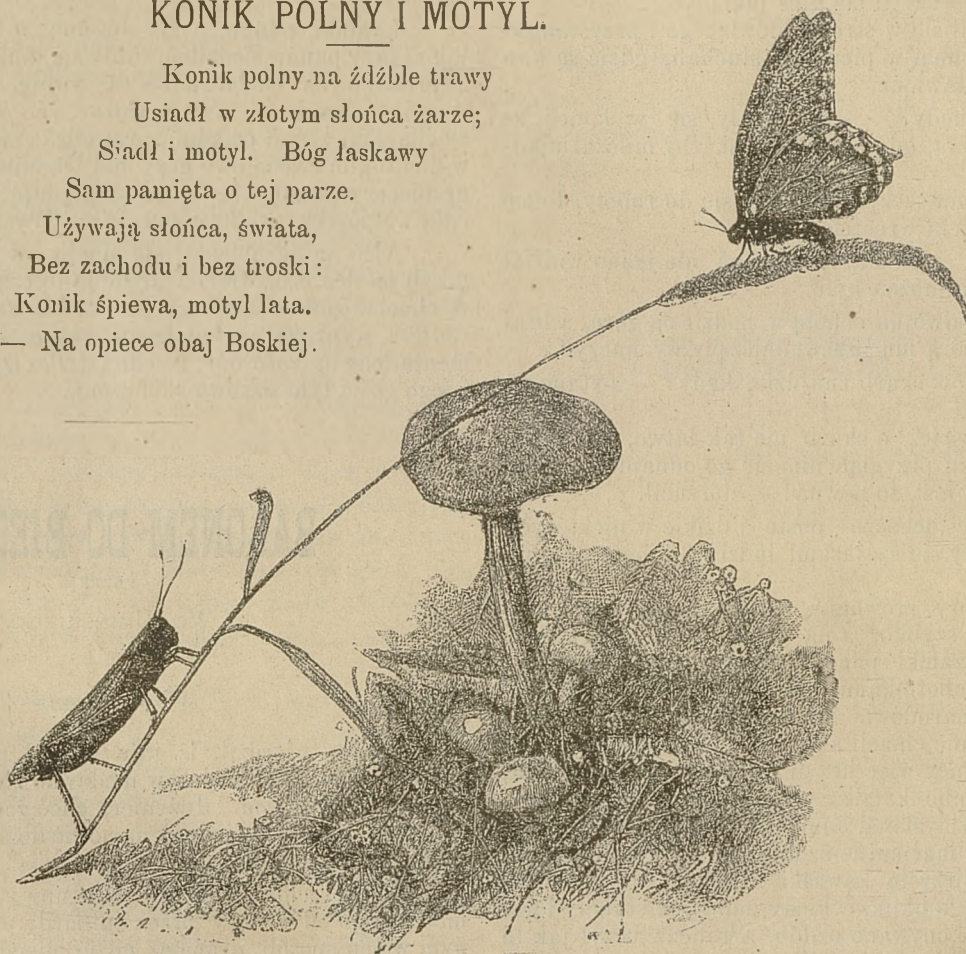
— Całą armię udźwignie; wiadomo panu zapewne, iż po

dzi je ku morzu. Góry lodowe, płynąc z prądem lub wiatrem w ciepłe strefy, topnieją powoli, rozsiewając głązy po dnie morskiem. Nierzadko wyprawy naukowe wyciągały z głębin oceanu olbrzymie odłamy skał, formacje których leżały gdzieś o kilka tysięcy kilometrów.

Promienie słońca wywoływały w tych masach lodowych jakieś dziwne odgłosy: trzeszczenie, trzaskanie, to znów przeciągły, głuchy huk, rozlegający się echem wśród skał nadbrzeżnych.

KONIK POLNY I MOTYL.

Konik polny na żdźble trawy
Usiadł w złotym słońca żarze;
Siadł i motyl. Bóg łaskawy
Sam pamięta o tej parze.
Używają słońca, światła,
Bez zachodu i bez troski:
Konik śpiewa, motyl lata.
— Na opiece obaj Boskiej.

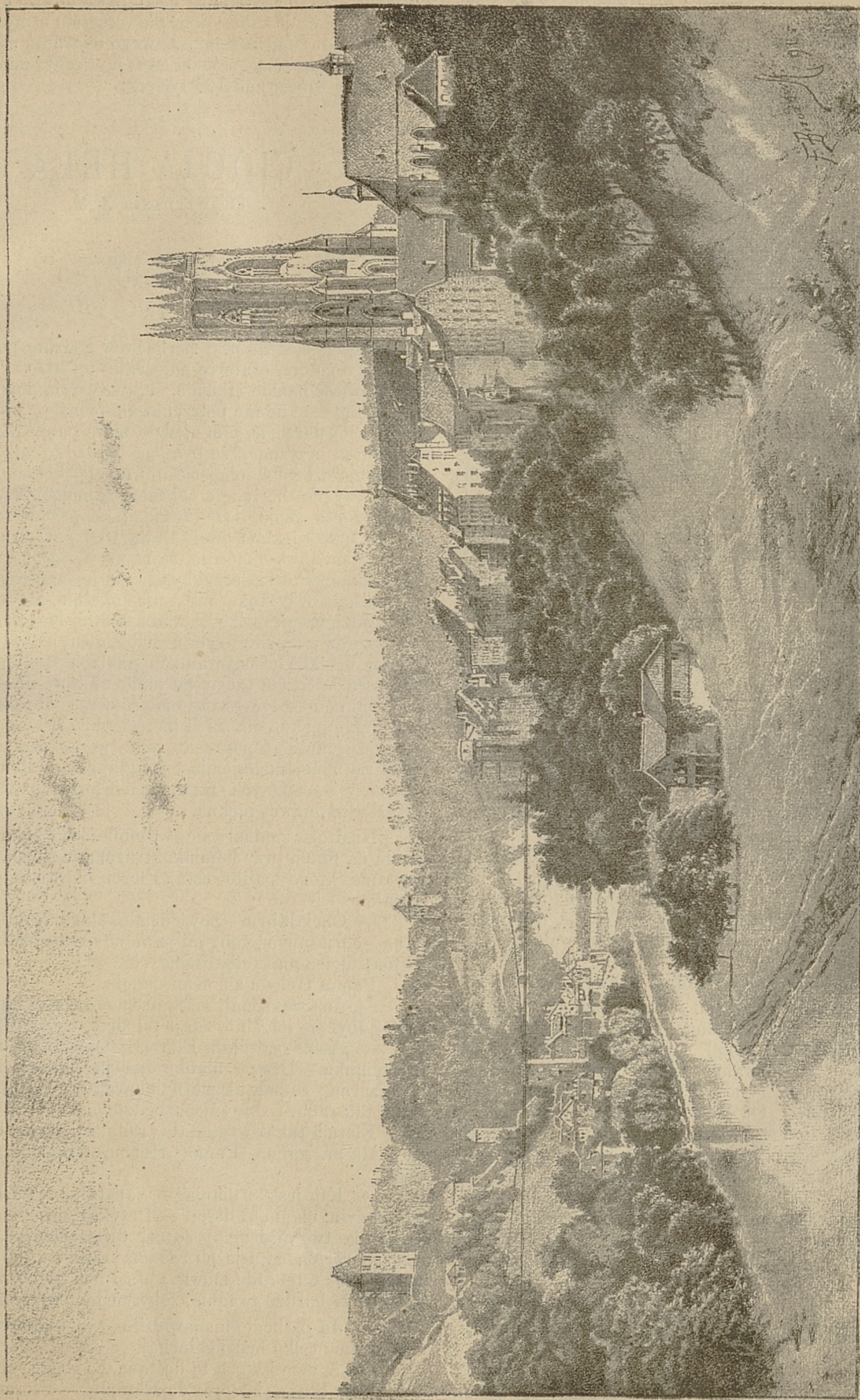


sześciociałowym łodzi można bezpiecznie przeprowadzić obłęziącą artylerję; pole, które leży przed nami ma niezawodnie wgląd trzy do czterech metrów, pomimo iż od miesiąca znajduje się pod działaniem ciepła słonecznego.

Wyszukawszy wzrokiem najprostszą drogę wśród lodów, kapitan ruszył naprzód, tuż za nim postępował Gromski, rozglądając się ciekawie po lśniącej powierzchni szolli, z której tu i owdzie sterczały góry lodowe, podobne do olbrzymich grup krystalicznych; dźwigały one na swych grzbietach, a nawet w swem łonie, wielkie bryły dolorytu. Ford, zapytany o pochodzenie tych kamieni, objaśnił, iż zostały one uniesione przez gleczer ze stoków gór; lodnik w ogóle działa tak samo jak potok t. j. odrywa ze swego koryta kawały skał i pę-

inżynier po chwilowej obserwacji przekonał się, iż przyczyną tego zjawiska było ciepło, które rozszerzając nierównomiernie góry, łupało je i rysowało we wszystkich kierunkach, marznąca zaś w szczelinach podczas przymrozków woda, rozsadzała do reszty. W ten sposób kolosy te. malały i rozpadały się stopniowo.

Nasi żeglarze z trudnością oryentowali się wpośród tego labiryntu; zmuszeni wymijać co chwila jakąś piramidę lodową, nakładali podwójnie drogi. Powierzchnia szolli stawała się coraz więcej nierówną, często nie było można zrobić ani jednego kroku bez pomocy okutego kija; podróżni nasi napotykali szerokie szczeliny, przez które musieli przeska-kiwać, narażając się na upadek.



MOST WISZĄCY WE FRYBURGU SZWAJCARSKIM.

Po upływie pięciu godzin, wszyscy, nie wyłączając wytrzymanego Jamesa, uczyli się porządnie zmęczeniu. Na propozycję inżyniera, zdecydowano się zrobić krótki przystanek dla nabrania sił i zjedzenia kawałka pekelflejszu.

— Nie sądziłem, że tak prędko będziemy musieli odpocząć — rzekł Gromski sadowiąc się u stóp czworokątnej piramidy lodowej.

— Podróże w okolicach polarnych zawsze są nadzwyczaj uciążliwe — odparł kapitan; — miałem sposobność przekonać się o tem podczas moich trzech wypraw. Składa się na to wiele przyczyn, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje bezwątpienia zimno.

Fizjologia uczy nas przecie, że ciepło żywotne pochodzi z utleniania węgla, wprowadzonego do organizmu z pokarmami; dla wynagrodzenia olbrzymiego wydatku fizjologicznego, powstającego skutkiem promieniowania ciała w niskiej temperaturze, mieszkańcy stref podbiegunowych muszą używać daleko więcej tłuszczów, aniżeli południowcy; zapewniam pana, iż Eskimosi pochłaniają takie ilości tranu i mięsa, jakich przeciętny europejczyk nigdyby nie strawił. Organizm w północnych strefach potrzebuje dużo węglowodorów, inaczej rychło z sił opada; chudy pekelflejsz nie jest dostatecznym pożywieniem w podbiegunowych, zwłaszcza pieszych podróżach.

Prócz zimna wycieńczają siły jeszcze rozmaite przeszkody mechaniczne, jak nierówność lodów i zasypy śnieżne, przepawa po których, zwłaszcza saniami, nastęcza zwykle olbrzymie trudności.

— Podług mnie — rzekł Gromski — istnieje jeszcze jedna przeszkoda, o której podróżnicy arktyczni nic nie wspominają bezpośrednio, lecz dużo zato mówią pośrednio. Wiem, iż ruch wirowy ziemi daje początek sile odśrodkowej, która na równiku działając w kierunku przeciwnym sile ciężenia, zmniejsza ciężar ciał, znajdujących się na powierzchni; w sąsiedztwie biegunów naszego planety, gdzie szybkość obrotu jest nieznaczna, siła ta niknie; w strefach polarnych zatem każdy przedmiot waży więcej, aniżeli pod równikiem, co za tem idzie — ludzie i zwierzęta dla przenoszenia się z miejsca na miejsce muszą zużywać więcej pracy mechanicznej, aniżeli w niskich szerokościach geograficznych. To tłómaczy nam, dlaczego podróże w tych okolicach są tak bardzo męczące.

— Zapewne, kochany inżynierze, nie trzeba jednak przeceniać jej doniosłości: każde ciało waży na biegunie o $\frac{1}{289}$ -tą więcej, aniżeli na równiku, to znaczy iż ciężar mojej osoby na przykład wzrósł zaledwie o jakie 300 do 400 gramów. Cóż to znaczy? Tak mała różnica nie powinna dać się uczuć; nie przeczę jednak, iż zaznaczony przez ciebie, inżynierze, fakt zwiększa sumę trudności, z jakimi trzeba walczyć w podróżach do bieguna.

— Nie cofniemy się przed żadną! — zawołał James.

Natychmiast po skromnym posiłku ruszono w dalszą drogę. Ford obliczył, iż oddalono się od brzegu nie więcej nad 5 — 6 kilometrów; oddał szolla stawała się coraz bardziej nierówną, pofałdowaną; bystre i doświadczone oko kapitana dostrzegło w jej rysach i wypukłościach ślady zimowego naciskania lodów. Od czasu do czasu nasi wędrowcy napotykali ciągnące się het daleko, baryery, utworzone z odłamków i okruchów ścierających się pomiędzy sobą pół lodowych. Olbrzymie tafle, grubości kilku metrów, piętrzyły się bezładnie, w dzikim chaosie; przywiodły one na pamięć Jamesowi smutny wypadek z ostatniej podróży — zgruchotanie „Narwala” przez lody.

(d. c. n.)

Most wiszący we Fryburgu.

Do największych osobliwości stolicy kantonu Fryburskiego należy most wiszący przedstawiony na rycinie naszej. Zwiesza się on w powietrzu na dwóch linach żelaznych, długich na 374 metrów, z których każda złożona jest z 1056

drutów. Liny te przechodząc przez dwie bramy, zagłębiają się daleko w gruncie skalnym, przymocowane 128 kotwicami. Most ten zbudowano w 1834 roku, a zatem przeszło pół wieku temu. Fryburg, stolica biskupstwa lozańsko-geneńskiego, szczyty się obecnie założeniem uniwersytetu utrzymywanego jedynie z funduszy kantonu, którego ofiarność na ten cel musi być bardzo znaczną, stosunkowo do liczby mieszkańców nie wynoszącej więcej nad 120 tysięcy.

CIOCIA HELA.

OPOWIADANIE Z. M.

(Dalszy ciąg).

II.

Florcja siedząc przy herbacie w godzinę później naprzeciw swego gościa, czuła że położenie jej było krytyczne. Musiała dowieść pannie Helenie, że była panią domu, że umiała nim zarządzać i że nie potrzebowała pomocy, którą podobało się ojcu jej narzucić, nim zjedzie nowa pani. Z drugiej strony musiała przyznać, że było coś bardzo ujmującego a przytem stanowczego w obejściu tej młodej krewnej. Dowiadując się, czy piła herbatę z cukrem i ze śmietanką, myślała wiele też mogła mieć lat? i osądziła że pewnie ze dwadzieścia pięć, co było wiekiem owej sławnej kuzynki Ludwini, o której Marysia zawsze mówiła, starając się ją naśladować. Czy była ładna? Florcja przyglądała się jej uporczywie, podczas gdy spuściła oczy; tak... nie... nie zupełnie, ale cóż to za twarz pełna wdzięku, prawdziwie alabastrowej białości! Florcja patrzyła teraz z mimowolnem uwielbieniem na włosy spuszczone w lekkich, naturalnych puklach na jej czoło, i nie wiedziała sama dla czego, na blade złotawe plamki, które koło skroni podnosiły jeszcze białosć cery. Rączki miała śliczne i jakie piękne na nich pierścionki! Florcja powiedziała sobie, że musi ją poprosić, żeby je pokazała po herbacie, kiedy się lepiej zaznajomią. Nagle panna Helena podniosła siwe oczy o ciemnych rzęsach i Florcja powiedziała sobie: Jaka ładna, nawet piękna.

Niedługo znalazły się w bibliotece; panna Helena siedziała na fotelu przy kominku, trzymając Stasia na kolanach, i pytanie które paliło usta Florci, nareszcie wymówionem zostało:

— Chciałabym — powiedziała, starając się udawać obojętną — chciałabym, żeby mi pani co powiedziała o tej pani... z którą ojciec ma... się ożenić.

Panna Helena się uśmiechnęła.

— Już się ożenił, moja droga — rzekła łagodnie. — Dziś rano odbył się ich ślub, zdaje mi się.

— Ach! — zawołała Florcja, popychając nogą głownię na kominku. — Dawna niańka ojca ją widziała i powiada, że jest czarna, że ma nieznośny charakter, i że jej rodzina jest rada, tak rada, że się jej pozbędzie.

Florcja także wyglądała rada, że wypowiedziała to co co miała na sercu. Panna Helena poważnie na nią spojrzała.

— Kto jest ta niania? — zapytała, a kiedy Florcja wytłómaczyła; ciągnęła dalej: — Przykro mi, że cię uprzedziła przeciwko twojej drugiej matce, droga Florciu, nie jest ona tak nieprzyjemną, a jeżeli rodzina rada się jej pozbyć, może lepiej teraz o tem nie mówić. Ja wiem tylko z tego co słyszałam, że bardzo pragnie, żebyście byli szczęśliwi.

— Ja ją będę nienawidziła — oświadczyła Florcja — i Staś mnie tylko będzie słuchał.

— A wszystko za to dostanę, co będę chciał — dodał uroczyście Staś. — Nieprawda Florciu? — Florcja się zarumieniła, a panna Helena rozśmiała się.

— Prześliczne masz nadzieje, Stasiu! A czegożbyś tak pragnął?

— Welocypedu takiego jak ma Tonio.

— Tonio R.—tłómaczyła Florcia—mieszkają obok nas i Marysia jest moją przyjaciółką. Powiedziała że pokaże tej nowej pani...—Florcia się zatrzymała, niebezpiecznie mogło być zwierzać się pannie Helenie.

— Co takiego?—zapytała ta łagodnie.

— Zapewne Marysia czytała straszne rzeczy o tem, co wyrabiają drugie matki. Ale chciałaś żebym ci coś powiedziała o żonie twego ojca. Nie wiem od czego zacząć. Mieszkała długo zagranicą i życie jej było dość smutnem, bo utraciła rodziców będąc dzieckiem i jedyną bliższą osobą była druga żona jej ojca, ale i ona umarła także, kiedy Zofia, bo tak się nazywa, była jeszcze bardzo młodą. Brat jej przyrodni, który nazywa się Michaś, został pod jej opieką, więc się bardzo pokochali.

— Ale niania powiada, że jej rodzina — zaczęła znów Florcia, ale panna Helena przerwała:

— Niania chciała zapewne mówić o rodzinie drugiej żony ojca. Bawiła u nich przez krótki czas i nigdy nie słyszałam, żeby mieli być radzi jej się pozbyć. Muszą to być plotki, bo jak mówiłam, Zofia bardzo krótko u nich bawiła.

— Czy sama mieszkała z bratem? — zapytała Florcia.

Bardzo była ciekawa dowiedzieć się jak wyglądał, bo spodziewała się, że przyjedzie do Różyna. Panna Helena potrząsała głową.

— Wątpię. Po śmierci rodziców dawna ich przyjaciółka wywiozła dzieci do gub. podolskiej, gdzie parę lat bawili, dopiero kiedy powrócili w te strony przed kilku miesiącami, pojechali na czas jakiś do dziadka Michasia, a potem do jego ciotki, niedaleko Zambrowa.

— I tam to ojciec mój ją poznał—rzekła wolno Florcia. Jakże nienawistnem wydawało jej się to miejsce!

— Zdaje mi się, że ją pierwszej już gdzieś widział—mówiła panna Helena, gładząc w zamyśleniu jasną główkę Stasia, a cenne pierścionki migały w świetle płomieni na jej drobnej ręce—ale była bardzo młodą i co jest dziwnem, mówiła, że ją zobaczył w chwili wielkiej złości.

— O!—rozmiała się Florcia.

— Tak, miała zdaje się charakter dość gwałtowny, o poskromienie którego nikt dotąd się nie starał i tego dnia była bardzo rozżalona na drugą matkę, dla tego że jej nie pozwoliła pojechać na podwieczorek, w czym miała wielką słusność. Nie było lepszej, rozumniejszej od niej istoty, ale Zofia w owym czasie trzymała się zasady, że drugie matki są zawsze niedobre i dokuczała osobie, która, jak się przekonała, była najlepszą jej przyjaciółką. Kiedy się tak rzucała, twój ojciec przyszedł w odwiedziny; był świadkiem wybuchu gniewu. Zofia zaś słyszała jak mówił:

— Co to za mała jędza, dziwię się, że pani możesz to znosić!

Przybrana jej matka odpowiedziała tylko smutnie:

— Niema matki, panie.

Florcia zamyślona patrzyła w ogień. Coby powiedziała panna Helena, gdyby wiedziała jak ona sama, Florcia, często wybuchła gwałtownymi uniesieniami gniewu, dokuczała tym co ją otaczali.

— Zdaje mi się jednak że nauka poskutkowała — ciągnęła dalej panna Helena—w każdym razie gdy druga matka umierała, stosunki ich były daleko lepsze, a teraz kiedy Zofia zwraca się ku przeszłości, widzi niezawodnie, że winną była bardzo.

— Czy pani wie?—zaczęła z nieśmiałością Florcia—że ja także mam taki trudny charakter, Marysia powiada, że muszę mieć krew południową w żyłach, że taki mój temperament.

Panna Helena rozśmiała się wesoło, uściaskała i pocałowała Stasia, ale po chwili rzekła poważnie:

— Lękam się, moja droga Florciu, że będę zmuszoną zbijać teorie twojej Marysi. Gdyby wszyscy kładli swoje winy na karb temperamentu, ciężko byłoby żyć na świecie. Nie twierdzą, żeby wszystkim było równie łatwo zapamiętać nad sobą. Naprzykład tobie jest może daleko trudniej niż

Marysi powściągnąć żywość twoją, ale gdy tak będziesz czyniła, wyrośniesz na kobietę złą i szlachetną. Pomyśl także jaka to radość panować nad sobą, nie być niewolnicą namiętnego usposobienia.

Florcia słuchała z uwagą.

— Ale jeżeli moja nowa matka jest także gwałtowna?—powiedziała nareszcie.

— Musicie w takim razie wzajemnie sobie dopomagać. Staraj się nie drażnić jej od samego początku. Oto właśnie twój ojciec bardzo pragnie, żebyś napisała do niej grzeczny listek, mówiąc że będziesz się starała żeby jej było dobrze tutaj. Pamiętaj że obcą tu będzie.

(d. c. n.)

Sprawozdanie z konkursu.

Nigdy może nie nadesłano nam tak wiele wypracowań, jak na ostatni konkurs, który obecnie rozstrzygać nam przychodzi. Wprawdzie temat był tego rodzaju, że nie było pomiędzy naszymi czytelnikami nikogo, kto by w miarę lat swoich i doświadczenia nie znalazł odpowiedzi na zadane przez nas pytanie. Bo i komuż, proszę, nie zdarzyło się doznać w życiu przyjemności, którą dla tych lub owych powodów uważa za największą z doznaných? To też począwszy od 8-letnich, a skończywszy na poważnych „staruszkach,” pospieszyło z odpowiedzią liczne gronko, wśród którego wielu przynajmniej, że im życie tak przyjemnie upływa, iż sami nie wiedzą, którą z chwil jego mają uważać za najprzyjemniejszą. Każdy jednak z piszących to, po namyśle znajdzie w swem życiu zdarzenie, które mu się w pamięci zapisało żywszą, głębiej odczuta radością, a wybór takowego zdarzenia jest nam doskonałą miarą charakteru i sposobu myślenia waszego, drogie dzieci. Z dumą widzimy, jak w młodocianym wieku dobrze już rozumieć zaczynacie, że jest coś miłszego nad przyjemności osobiste, coś szlachetniejszego nad zadowolenie zachcianek własnych, nad samolubne używanie uciech, których wam dostarczają warunki życia rodzinnego, troskliwie przez rodziców obmyślane ku pożytkowi waszemu i wygodzie. Tak! dziatwo droga, zawsze o tem pamiętać należy, że po za ciałem i malutkim, acz najmiłym dla serca światkiem, zamkniętym czterema ścianami rodzinnego domu, jest świat inny, stanowiący rozległe pole pracy, i że pracę tę spełnić sumiennie, to najpierwszy obowiązek, najwyższy zaszczyt, a dla serc czystych i prawych „największa przyjemność w życiu.” Ale to kiedyś później, jak dorośnięcie!

Tymczasem wolno wam mieć przyjemności inne, dla wieku waszego stosowne, a tak różnorodne, jak różnorodni wasi są warunki, wśród których wstacie, upodobania wasze i usposobienia. Jednym to radość sprawia, drugim znowu co innego, ale z małym bardzo wyjątkiem wszyscy i wszystkie opisują wrażenia swoje tak poprawnym językiem i takim doborem wyrazów, że widoczną jest rzeczą, iż korzystają z udzielanych im nauk, z gramatyką w dobrych są stosunkach, a prztem i czytają dosyć, bo nic tak stylu nie kształci, jak uważne dobrych książek czytanie. Nie mówimy tego do starszych—bo rzecz to zupełnie naturalna, że kilkunastoletnia panienka umie wyrażać swoje myśli—ale do małych, do tych, których pseudonimy widzieliśmy niedawno na próbkach kaligrafii, a widzimy teraz podpisane na odpowiedziach zupełnie udanie skreślonych. Od małych więc podług naszego zwyczaju zaczynamy wyliczenie tych, którzy zasłużyli na nagrodę 1-go stopnia:

8-letnia Kuropatewka z nad Warty, dla której największą w życiu radością było przyjście na świat małego braciszka. Zabrał jej go Pan Bóg, zanim spełnić się mogła jej nadzieja, że zaczynające chodzić dzieciątko za rączki prowadzić będzie, ale pomimo cierpienia jakim przejęła śmierć braciszka, krótki jego pobyt na ziemi, liczy ona „do najradosniejszych chwil w życiu.” 8-letnia Mrówka leśna wiele miała przyjemności w życiu, jak wyznaje; my zaś ze słów jej

wnioskujemy, że posiada ona szczęśliwe to usposobienie, co ze wszystkiego radość sobie i zadowolenie wyciągnąć umie. Rówieśnik jej Benjaminek, „nie wiedział co robić z radości,” gdy przeczytał w Wieczorach, że otrzymał nagrodę. „Odtąd postanowił być pilnym, grzecznym i dobrze się uczyć,” a nam się zdaje, że takim musiał być i dawniej, skoro „podczas lekcji kilka razy dostawał buzi, a na zakończenie piątkę.” W każdym razie, widzimy, że dotrzymuje postanowienia, bo odpowiedź dobrze i ładnie napisana zasługuje na nagrodę, która oby tym trojgu małym sprawiła prawdziwą przyjemność. Ze starszych do nagrody mają prawo: 10-letni Papieros, który opisuje podróż swą do Abazy, 10-letnie: Lilia wodna i Kosodrzewina z Babiej góry; 11-letnie: Muszka latająca, (pismo staranne), Mrówka z nad Warty; 12-letnia Brzydotka z nad Tamizy, 13-nie: Błędny ogień, opisujący bardzo udanie odbyłą podróż, Topolka z nad Jody, wdzięczną umiejacą być Bogu, który „nie chłostał, ale dobrodziejstwami obsypywał jej rodzinę; Libella, która z uciechy sprawionej podarunkiem zegarka, umiała sobie wysnuć naukę, że „z każdej chwili należy korzystać, rozum i serce w cnoty wzbogacać, aby potem do walki z życiem z próżnemi nie stanąć rękoma.” Kukulka z pod Lublina, dla której dzień pierwszej komunii był najszczęśliwszym w życiu, bo jak pismogłowa sobie powiedzieć: „Nie jażyję — ale żyje we mnie Chrystus.” Z 14-letnich, Jaśko Warszawiak należy do kategorii nagrodzonych.

Z pomiędzy staruszek zasługiwałyby na nagrody, gdyby nie były już staruszkami: 15-letnia Jodelka z nad Noteci, 16-letnie: Prawa, Niezapominajka z nad Warty, 15-letnia Zorza, 16-letnia Babie lato, 17-letnia Wróżbiarka szczęścia i 16-letni Orzeł z nad Dniepru, bardzo także dobrem jest wypracowanie Kwiatka z pustyni, (który niewiadomo dla czego zataił lata swoje.)

Do nagród 2-go stopnia mają prawo: 7-letni Skowronek; 10-nie: Ginka Kr., P. z nad Newy, Lucia z Londynu; 11-nie: Iskierka z pod Lublina, Rosa poranna; 12-nie: Paproć nadwiślańska, Malina leśna; 13-letnie: Muszelka, Fiolek z nad Warty; 14-letni: Gwiazdka nadziei, Łacinnik, co do którego mieliśmy już sposobność zauważyć, że posiada wprawę w pisaniu ćwiczeń i Zabka nad-obrzańska. Do zasługujących na nagrodę 2-go stopnia zaliczamy także Reginkę Sch. z Oz., która lat swoich nie podała, skreśliła za to bardzo wzruszające wyznanie. Pięknie ono świadczy o uczennicy i o nauczycielce zarazem. Nagrody są do odebrania w redakcyi.

Pochwalne wzmianki należą się 10-letnim: Barylce, Miłośnikowi koni, Jaskółce z nad Sanu, Słkorce, Pociesze cioci; 11-letnim Czerwonemu gwoździłkowi, Jedynaczce, Zorzy północnej, Pojacie, Wioślarce, Małej L., Znaczkowi, Wiochnie II-ej, (Am. Dut.); 12-letnim: Jaskółce z nad Płtocy, Kalinie z nad Bugu, Koleżance, Niezapominajce z Polesia; 13-letnim: Dziewioi, Gosposi, Literce, Brunetce; 14-letnim: Rzepiszce, Kwiatowi paproci, Najmłodszej z karawany (nie podała nazwiska ani adresu), 15-letniej Fregacie i 17-letniej Jaskółce z Czerwonej Rusi. Nie wymienili lat: Niezapominajka z Krakowa i Noc księżycowa, co uchybia warunkom konkursowym.

Oprócz wyżej wymienionych nadesłali odpowiedzi (nie możemy nazwać ich wypracowaniami). 13-letnia Lobelia i kil-

ka jeszcze innych. Wszyscy zaś tak nagrodzeni jak pochwaleni, złożyli nam jak zwykle dowody tej niezmienniej gotowości zadość uczynienia naszemu wezwaniu, za którą zawsze wdzięczną im jest

Redakcja.

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Pierwsze, trzecie owady bardzo szkodliwe,

A jest ich drugie, trzecie!

Wszystko miga jak barwne kwiatki lśniąć żywe,

Na wiosnę, w lecie.

KWADRAT MAGICZNY.

Ułożył Kret z Noworos.

Z liter rozmieszczonych w kwadracie z 16-tu przedziałek ułożyć wyrazy:

a a e e

o o o o

c k m r

t z z t

Zwierzę przezuwające z rodziny poroworogich czyli pustorogich. 2. Każda ciecz, której częścią składową jest kwas. 3. Cyfra bez wartości. 4. Najmniejsza, niepodzielna częśćka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go.

Szarady: B u d a.

Łamigłówki sylabowej:

1. Czerniaków. 2. Hugly. 3. Indus. 4. Cement. 5. Abisynia. 6. Głogów. 7. Onega.

Chicago Wystawa.

Od Redakcyi.

Ponieważ dochodzą nas wiadomości, że jakiś nieznany nam chłopiec, nie mający do tego upoważnienia, roznosi Wieczory upominając się natrętnie o datkę „na piwo,” upraszamy przeto naszych prenumeratorów, aby w razie gdyby taki roznosiciel ukazał się u nich, raczyli nas uwiadomić o tem pocztą miejską, abyśmy nadużyciu temu tamę położyć mogli (markę z wdzięcznością zwrócimy) roznosiciele bowiem nasi, dostatecznie przez nas wynagradzani, nie mają prawa upominać się o dodatek do swej zapłaty.

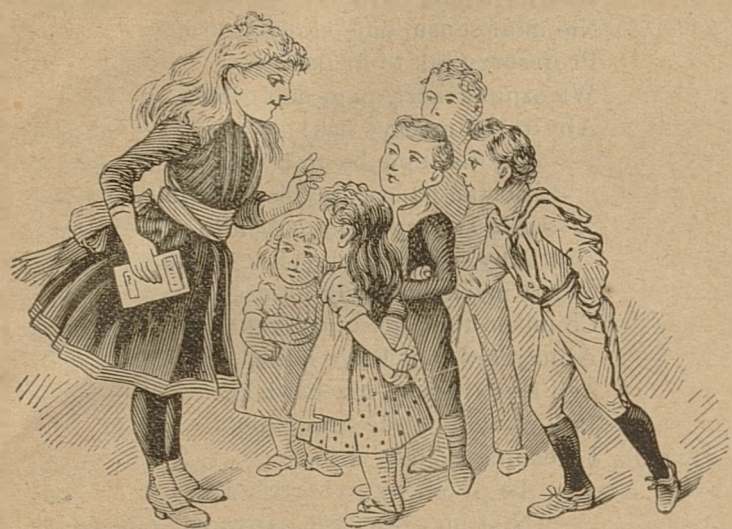
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Ogrody botaniczne, skreślił Edmund Jaukowski (z drzew.) — Złotnik królewski, obrazek z XIV w., p. Z. Morawską. — Bala-nem do bieguna p. Wł. Umińskiego. — Konik polny, wiersz (z drzew.) — Most wiszący we Fryburgu (z drzew.) — Ciocia Hela, opowiadanie p. Z. M. — Sprawozdanie z konkursu. Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Zabawa w szkołę p. A. Do. (z drzew.) — Po świętach, wiersz p. Z. Morawską. — Odwaga i zuchwalstwo, Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród puszczy meksykańskich.

WIECZORY RODZINNE.



ZABAWA W SZKOŁĘ.

W pewnem dużem mieście mieszkali państwo Zagórscy, ludzie niezmiernie bogaci. Pałac który zajmowali był bardzo piękny; otaczał go ogród prześliczny, służby mieli mnóstwo, konie czekały w stajni zawsze gotowe na usługi pana lub pani, mieszkanie z wielkim urządzone było przepychem, a jednak... jedyna córeczka państwa Zagórskich, siedmioletnia Terenia, nie zawsze była wesołą.

Możecie sobie wyobrazić, że rodzice nie żałowali starań, ani pieniędzy, by jej życie uprzyjemnić. Nie umiałabym nawet wyliczyć wszystkich jej lalek i zabawek; codzień prawie, matka lub ojciec kupowali jej coś nowego. Mimo to, od jakiegoś czasu dziewczynka chodziła smutna i znudzona wśród swoich skarbów... przykryło jej się, bo nie umiała się zająć pożytecznie.

— Powiedz mi Reniu, co ci jest? — spytała ją nareszcie mama, widząc że córeczkę rozweselić trudno.

— Ach mamo! Czy ja wiem... godzina lekcji prędko przemija, czytać długo nie wolno, a biegać po ogrodzie samej, zawsze, zawsze samej się bawić, to tak smutno... nudzę się okropnie! Gdybym choć miała z kim się bawić.

Zamyśliła się pani Zagórska, bo na nieszczęście wszystkie jej znajome, albo nie miały dzieci, albo o wiele starsze od Tereni.

— Jakże ja ci poradzę, moja córeczko? Gdzie znajdziesz rówieśników dla ciebie?

— O... jabym znalazła sama, niech tylko mamusia pozwoli.

— Ty?

— A tak, mamo. Nasza krawcowa ma dwóch synków, a naprzeciw nas, na czwartym piętrze, mieszkają także dzieci. Codzień trzy główki widuję w oknie. Śmiejemy się do siebie, a czasami nawet, spotykam niektóre

z tych dzieci na ulicy, gdy z mamą lub panną Anielą powracam ze spaceru do domu.

— Ależ moje dziecko, my ich wcale nie znamy; może są niegrzeczne, niezdolne, nie mogą na to pozwolić żadną miarą — stanowczo sprzeciwiła się mama.

Kilka dni minęło, pani Zagórska nie mogła znieść widoku ciągle smutnej córeczki i zaczęła się zastanawiać nad jej prośbą. Niepodobna jej było wyszukać towarzystwa dla Tereni w domach zamożnych swych znajomych, postanowiła więc przekonać się osobiście, jakimi są te dzieci, z którymi Terenia bawić się pragnie. Pokazało się, że Jaś i Karolek synowie krawcowej, byli poczciwymi, posłusznymi chłopczykami, że dopomagali matce i ojcu, w czym tylko ich siły starczyły, a nie sprzeciali się nigdy.

Były to dzieci dobrze wychowane, choć ubogie. Sąsiedzi zaś z przeciwka, jak się również pani Zagórska osobiście przekonała, mieli dwie miłutkie małe dziewczynki, Julcię i Anusię i synka Stasia. Mama tych dzieci zajmowała się szyciem bielizny, ojciec był woźnym w sądzie. Pani Zagórska posłała parę sztuk płótna do szwaczki i pod pozorem umówienia się o robotę, sama do niej wstąpiła. Nie poprzestając na jednorazowych odwiedzinach, kilka razy w przeciągu tygodnia zaglądała do tych ubogich ludzi, i nigdy się nie trafiło, by które z trojga ich dzieci było niegrzeczne.

Wtedy, mama Tereni, porozumiała się z mamą Anusi, Julci i Stasia, która z ochotą zgodziła się przysyłać codzień na parę godzin swoje dzieci do ogrodu, dla zabawy z Terenią. Biedni malcy siedząc po całych dniach w ciasnem mieszkanku, spragnieni byli słońca, ruchu i świeżego powietrza.

Któż opisze radość Tereni, gdy pewnej niedzieli wychodząc z jadalnego pokoju do ogrodu, spotkała całą gromadkę swych małych znajomych, którzy ją obskoczyli z wesołemi okrzykami zapowiadając, że odtąd codzień bawić się z nią będą.

Dzień za dniem, tydzień mijał za tygodniem, a pani Zagórska cieszyła się zmianą, jaka zaszła w Tereni. Dziewczynka wstawała z łóżka śmiejąc się i śpiewając, lekcye szły o wiele lepiej niż dawniej, apetyt powrócił, a rumiana buzia o dobrem zdrowiu świadczyła.

W pogodne dni, dzieci biegały razem i bawiły się w ogrodzie; w czasie deszczu, w dużym pokoju tak zwanym szkolnym, gdyż tam się codzień odbywały lekcye Tereni. Panna Aniela, nauczycielka Tereni, zostawała im zupełną swobodę, zdaleka tylko dozorując. W ogrodzie też samo miało miejsce.

Minęło parę miesięcy, życzliwość coraz serdeczniejsza łączyła ubogie dzieci z Terenią.

Pewnego dnia, pani Zagórska przechodząc przez ogród, daremnie upatrywała wesołej gromadki, nigdzie jej dostrzedz nie mogła. Nareszcie, w stronie altany usłyszała monotonne jakieś mruczenie: zbliżyła się

i przez gęsto splecione gałązki dzikiego wina zajrzała do środka.

Czworo starszych dzieci, z wielkim zapalem powtarzało katechizm; Terenia chodziła od jednego do drugiego, podpowiadając zapomniane wyrazy. Najmłodsza zaś ze wszystkich, trzyletnia Anusia, spała smacznie, rozciągnięta na ławeczce.

— Co wy tu robicie? — spytała mama, wchodząc do altany.

— Bawimy się w szkołę, mamusi — odparła Terenia. — Ani Karolek, ani Julcia nie umieli dobrze katechizmu. Ułożyliśmy więc sobie, że codzień, gdy się już dość nabiegamy, na odpoczynek zabawimy się w szkołę. i tak się już od kilku tygodni bawimy. Niechno mama posłucha co umiej.

— A ty już umiesz być pożyteczną na świecie, — zawołała mama, przyciskając do serca córeczkę.

— Ach mamusi! Ja tego nie umiem tak wypowiedzieć, jakbym chciała, ale mi tak dobrze. Już teraz nigdy się nie nudzę, nie ziewam od rana do wieczora. Bawimy się razem doskonale, a gdy się sama uczę, to słucham, uważam, takbym rada wszystko, wszystko zrozumieć, żeby się to komu na coś przydało...

— I tabliczki mnożenia Terenia nas nauczyła... — wyrwała się Julcia.

— A jakże... umiemy ją jak pacierz — zawtórował Janek.

— Ah, umiemy także historię świętą aż do Salomona — pochwalił się Karolek.

— I przykazania bez zająknięcia powiemy — dodał Staś.

— Ach mamo, jakam ja szczęśliwa!

Pani Zagórska nie była wstanie słowa przemówić, oczy miała pełne łez — słodkich łez radości.

* * *

Minęło lat przeszło dwadzieścia. Terenia za męża wyszła; dziś już własne dzieci uczy, na rozumnych i zanych ludzi wychowuje, a dotąd jeszcze do najmilszych wspomnień zalicza maleńkich swoich przyjaciół i zabawę w szkołę.

A. Do.

PO ŚWIĘTACH.

Ach, te święta przeminęły,
Znikły baby i kołaczki,
Dni próżniactwa też zniknęły!
Chyba, że się dziś rozplacę...
Bo już do szkół wracać czas!

Ach, ta szkoła! z nią kłopoty,
Że aż głowa od nich boli,
Od soboty do soboty
Ślęcz nad książką, a na roli,
Skowroneczek wzywa nas.

Wzywa, wzywa nas ptaszyna,
By pobujać pośród łąki.
Łąka kwitnąć już zaczyna,
Wkrótce w polu będą strąki,
A ty uczniu w mieście siedź!

Siedź i ucz się, pisz zadania,
Męcz swą pamięć, pisz bez miary;
Oczy bolą z niewyspania,
Gdy nie umiesz, sypią kary!

Więc się chłopcze z książką biedź!

Kto wymyślił te nauki
Nie miał sensu, daję słowo!

Profesorzy jak te kruki
Wiecznie kraczą nam nad głową,
Aby tylko męczyć nas!

Ot, nie lepiejby to było
Zostać na wsi, wybiedz w pole,
Ale starszym się przyśniło,
Aby dzieci zamknąć w szkole
I marnować tylko czas!

Co mi po tem, jak tam Greki
Albo jacyś tam Rzymianie,
Żyli kiedyś, tam, przed wieki.
Jabym wołał zjeść śniadanie,
I wesoło wybiedz w las.

Te ptaszyny to szczęśliwe,
Nikt im głowy nie zawraca,
Wzleci sobie ponad niwę,
Kiedy zechce, to powraca,
A mnie każą uczyć się!

Jutro muszę wziąć manatki,
I chcąc nie chcąc iść do szkoły,
Zamknąć się jak mysz do klatki
I rozpocząć znów mazoły,
I wciąż uczyć, uczyć się!

A ten ptaszek... co on robi?
Ulatuje... to znów wraca...
Gniazdko słomą sobie zdoła,
Drogę sobie nawet skraca...
Tak pracuje, śpieszy się!

Więc i on chociaż tak wzłata,
To pracuje, jako może?
Och, jak serce mi kołata...
Przebacze mi dobry Boże,
Że ja tylko lenię się.

Lecz i ja pracować będę,
Pójdźcie do mnie, książki moje!
Lenistwa się odtąd zbędę
Pracą czoło swe uznoję,
By zyskać stracony czas!

Z. Morawska.

ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO M. P.

(Dokończenie).

Otworzono drzwi. Robotnicy idący na przedzie zawahali się na chwilę, bo nie wiedzieli z kim mają do czynienia, dzierżawca usunął ich na stronę, wziął latarkę, którą jeden z żeńców przyniósł ze sobą i wszedł pierwszy do domu. Złodzieje nawet nie próbowali się opierać. Stary Booth siedział na krześle, ręce położył na stół i oparł na nich głowę, Jaś klęczał koło pieca i pięściami tarł sobie oczy. Widziałem Booth'a, gdy pan

Blossom podniósł latarkę i oświecił twarz jego i nigdy tego widoku nie zapomnę, tyle było bezczelności w jego oczach, taka zawziętość malowała się w jego ściśniętych ustach. Dzierżawca schwycił go za kołnierz i zapytał co tu przyszedł robić. Sqtter wyrwał mu się i odpowiedział cynicznie:

— Dajcie mi pokój! Przecie nic wam złego nie zrobię! Znowu się dałem złapać — a bodaj!

Jeden z robotników wziął Jasia za ramiona i przyciągnął go do stołu. Jaś płakał i prosił o przebaczenie; wcale nie było w nim widać tej odwagi, którą się zwykle chwalił. Stary Booth ani spojrzał na syna, widać było mu obojętne co się z nim stanie, jeszcze odrzucił go od siebie, kiedy chłopak uczepił się jego ręki. Dzierżawca chciał zrazu Jasia porządnie wybić i puścić wolno, ale rozmyślił się i odesłał obu złodziei pod silną strażą do wiejskiego więzienia, gdzie mieli noc spędzić, ażeby nazajutrz rano stawić się przed sądem.

Wypadek ten smutnie podzielał na zebranych gości, nie było już zabaw ani śmiechów: zebrali się wszyscy jeszcze raz w stodole i wzniesli zdrowie Julka wpośród potrójnego „hurra!” Nie mówiono o niczem innem tylko o jego odwadze, przytomności umysłu, o tem jak roztropnie zamknął złodziei w pułapce. Starzy gospodarze klepali go po ramieniu i nazywali dzielnym chłopcem.

Czułem się opuszczony; nikt na mnie nie zwracał uwagi, wszyscy rozprawiali o bohaterskim czynie Julka, a do niedawna myślałem, że ja tylko mam prawo do tego tytułu. Julek nie wyglądał wcale na bohatera. Stał oparty o kolana pani Blossom, która go objęła za szyję i miała większą ochotę płakać, niż się cieszyć z pochwały, któremi go zasypywano.

Niedługo wszyscy goście się rozeszli, Zuzia i Betty sprzątały resztki wieczerzy, a nam pani Blossom kazała iść do domu i kłaść się spać. Taki byłem zmęczony że ledwie miałem dość siły rozebrać się i zaraz zasnąłem. Zdaje mi się że Julek długo się przewracał na pościeli i co się zdrzemnął to się budził z krzykiem. Pani Blossom weszła ze świecą, posiedziała czas jakiś koło łóżka i słyszałem jak mówiła mężowi, że Julek ma lekką gorączkę, ale pewnie wyśpi się i będzie zdrowy. Potem już nie pamiętam co się działo, bo spałem jak zabity. Około północy zbudził mnie krzyk Julka. Otworzyłem oczy i zobaczyłem go siedzącego na łóżku; zdawał się nieprzytomny, bełkotał coś niezrozumiale i wpatrywał się w ciemny kąt pokoju. Nie poznał mnie, kiedy go pytałem co mu jest i mruczał dalekie słowa bez związku.

Takem się nastraszył, że pobiegłem zaraz po panią Blossom. Pocziwa kobieta zerwała się z łóżka i przysłała do naszego pokoju. Wyglądała bardzo zabawnie w ogromnym czepku ze szlakami i starej chustce, i pewniebym się śmiał, gdybym mógł myśleć o czem innem jak o Julku. Mój braciszek musiał być bardzo chory: policzki miał czerwone, usta spieczone, oczy błyszczące i bez wyrazu. Patrzył na mnie ale mnie nie poznawał i bezustanku mówił i mówił, ale co? tego nie mogłem zrozumieć.

— Tomku, on ma silną gorączkę, ubierz się prędko i zbudź mego męża.

Zdawało mi się że noc nigdy nie minie; nareszcie

rozedniało i dzierżawca poszedł po lekarza. Pani Blossom całą noc przesiedziała przy łóżku chorego, okrywała go prześcieradłem, które Julek w gorączce odrzucał, podawała mu napój chłodzący i podkładała chłodne poduszki pod jego rozpaloną głowę. Widząc że się na nic nie przydam, wsunąłem się między łóżko i szafę i starałem się zachowywać jak można najciszej. Już Zuzia przygotowała śniadanie w kuchni, kiedy nareszcie przyjechał doktor. Odrazu wszedł do pokoju chorego, zadał pani Blossom mnóstwo pytań i wyegzaminował Julka; widać że stan jego nie był dobry, bo potrzęsnął głowę i westchnął. Gdy wychodził, wysunąłem się za nim i słyszałem że mówił do dzierżawcy:

— Wartoby zaraz dać znać matce tego dziecka, bo choroba będzie ciężka.

Nie wiem co dalej mówili, bo żal mi gardło ścisnął i zacząłem płakać jak małe dziecko, zapominając o odwadze i męskości. Doktor zawołał mnie do siebie, posadził na kolanach i zaczął pocieszać:

— Mój chłopcze, nie trać nadziei; twój braciszek bardzo chory, ale da Bóg zupełnie przyjdzie do siebie i będziecie się znowu razem bawili. Widzisz, wczoraj nadto się przestraszył, a wzruszenie podzielało zbyt silnie na jego delikatne nerwy, i dostał zapalenia mózgu. Jest to choroba ciężka, ale z niej przecie ludzie wychodzą.

Pozwolił mi także przesiadywać w pokoju Julka pod warunkiem, żebym nie robił hałasu. Przez cały ranek nie wychodziłem do ogrodu, poobiedzie, zmęczony niepokojem i bezsennością, usnąłem w moim kąciку. Obudziłem się czując, że mnie ktoś całuje i otworzywszy oczy zobaczyłem mamę, którą klęczała koło mnie i przyciskała mnie do piersi.

Tak mnie jej niespodziewane przybycie ucieszyło, że prawie zapomniałem o Julku. Braciszek mój drzemał i żeby go nie zbudzić wyszliśmy z pokoju, usiedliśmy na schodach, tam opowiedziałem mamie szczegółowo cały wypadek i wypłakałem się, kryjąc twarz w fałdach jej sukni.

— Mamo — zapytałem — czy on umrze?

— Wszystko jest w ręku Boga. Módl się do Niego i proś żeby Julka nam nie zabierał, i żeby nam dał siły do zniesienia tej próby.

— Mamie nigdy odwagi nie zabraknie.

— O moje dziecko! ty nie wiesz jak mi serce drży, na samą myśl, że nam może się coś złego stać!

Mówiąc to mama wstała i odeszła do pokoju Julka i odtąd ani w dzień ani w nocy nie odstępowała go na chwilę. Przez kilka następnych dni Julek był bardzo chory i nie poznawał nikogo. Zrywał się ustawicznie z łóżka i wołał: „Mamo, mam, chodź do Julka!” a kiedy go mama łagodnie kładła na poduszki, on patrzył na nią błyszczącymi oczami, ale nic nie widział. Mamę to strasznie bolało; widziałem nieraz jak łzy obcierała i szeptała cicho pacierze.

Czułem się teraz spokojniejszy niż przed przyjazdem mamy, ale z dawnej mojej zuchwałości nie zostało ani śladu. Całe dni spędzałem na schodach, przestraszając się każdym szmerem, bo mi się zdawało, że Bóg nie zważając na nasze prośby zabierze Julka do siebie i że już

nigdy nie będziemy się ani bawili, ani śmiali, ani biegali po polach!

Po kilku dniach gorączka się zmniejszyła, ale niebezpieczeństwo nie minęło. Julek był tak osłabiony, że się nie mógł poruszyć, poznawał jednak mamę i całymi godzinami leżał trzymając ją za rękę i wpatrując się w jej twarz wybladłą od trosk i czuwania.

Jednego wieczora Julek zasnął. Mama wyszła z jego pokoju i usiadła obok mnie na schodach; oczy miała pełne łez i ręce jej drżały.

— Czy mu gorzej? — zapytałam?

— Sama nie wiem, on taki osłabiony! Ale Tomku! jeżeli się Bogu podoba wziąć go do siebie, musimy Go prosić żeby nam dał odwagę do zniesienia tego ciosu, odwagę taką, jaką ma Julek, bo on się śmierci nie lęka. Nim zasnął, słyszałam, jak szeptał spoglądając na mnie: „Choć zstąpię w dolinę cienia, nie postanie we mnie bojaźń”.

Julek jednak nie umarł. Pan Bóg wysłuchiwał naszych prośb i zostawił go przy życiu; braciszek mój przychodził do zdrowia, co prawda bardzo powoli, i nie raz jeszcze drżeliśmy o niego, ale nadszedł dzień, kiedy niebezpieczeństwo znikło i mogliśmy Wszechmocnemu za Jego litość dziękować.

Zapomniałem zupełnie o starym Booth'cie i Jasiu, bo przez czas choroby Julka o nim tylko myślałem. Stawiono ich obu przed wójtem, który odesłał Booth'a do więzienia w Meddingtonie, gdzie miał czekać sądu na złodziei. Co się tyczy Jasia, to ponieważ on był jeszcze bardzo młody i pierwszy raz zawinił, wójt nie wsadził go do więzienia, ale kazał odwieźć do domu poprawy. Można mieć nadzieję, że się tam zmieni na lepsze i że wyrośnie na uczciwego człowieka, bo Jaś chociaż miał wiele wad, w gruncie nie był złym chłopcem i tylko zły przykład zrobił z niego złodzieja.

Jak tylko Julek wyzdrowiał, opuściliśmy Silverhill, żegnani serdecznie przez państwo Blossom i pułkownika Morris i chociaż mieliśmy zobaczyć ojca i Lucię, smutno nam było opuszczać Oatsland, gdzie tyle kochających serc znaleźliśmy.

Skrzynka do listów.

Kochanemu Żuczkowi przesłaliśmy nagrodę, która jest także i dla mamy nagrodą, należną jej za starania nad wychowaniem synka. Widzimy z listu, że synek odwdzięczyć je umie, co także słodką jest dla matek nagrodą.

Gałązka jaśminu dobrze rozwiązała łamigłówkę.

Znajomość z Czytelnikiem z nad Kłobi jest nam bardzo przyjemną, przykro nam tylko, że nie możemy mu odpowiedzieć na pytanie. Panienka, o którą pytasz, od dawna nie odzywała się do redakcji.

M. K. i Orz. B. przysłali łamigłówki, które wolnym czasem przejrzymy.

Od Szczebiotki otrzymaliśmy bardzo dobre rozwiązanie zagadki.

Podróźniczce. Talentu prawdziwego nie zabijają nigdy sprawiedliwe uwagi, owszem przyczyniają się do jego rozwoju; jest to

prawdą ogólnie stwierdzoną doświadczeniem. Zabija go natomiast nie znosząca tych uwag pycha, w której bierze początek kłamstwo i zacierają się najświętsze uczucia. Powtarzamy też że dla młodych istot dotkniętych tym pierwiastkiem wszelkiego złego, czujemy tylko wielką litość, bo ciężką i twardą będzie dla nich szkoła życia, jeżeli nad wykorzenieniem go w sobie pracować nie zechcą.

Ucieszyłaś mnie Gwiazdko jeroz. odezwą dawnej i niezapomnianej przyjaciółki. Przesyłkę twą mile przyjęto i proszouja jesteś o wstąpienie do redakcji, by o niej obszerniej pomówić. Odebrałam także liścik od nowej korespondentki, Dętej perełki i pospieszam z odpowiedzią na jej pytania. „Przed lat tysiącem” jest skróceniem obszerniejszej powieści. Konkurs już rozstrzygnięty, a kiedy redakcja ogłosi nowy i jaką nową drukować będzie powieść, to już jej tajemnice, w które wdziierać mi się nie wypada. „Dwie siostry” wyszły osobno. Parę tych objaśnień są odpowiedziami na twoje także pytania, Kingo. Nasza redakcja nie zwierza mi się z tem co drukować zamysła; słyszałam tylko z bólu, że mają umieścić wkrótce jakąś bardzo ciekawą powieść. Tak powiastki jak wszelkie inne artykuły przyjmują się niezależnie od tego, kto je przysyła, ale trzeba na to koniecznie, aby miały rzeczywistą wartość. Rośliny muszą być zasypane piaskiem, dopóki nie wyschną; grubolistne dłużej niż delikatniejsze. Nie wiem jeszcze czy i gdzie pojedę w lecie. Centofolii posyłam żądane przez nią numera, listu nie odebrałam żadnego. Bardzo mi to przykro, to też wynagrodź mi poniesioną szkodę i napisz do mnie, kochana. A piszcie wszyscy tak, jak B. Orz. z nad Dn. „przelewając na papier to, co serce czuje, w słowach prostych i niewyszukanych.” Ująłeś mię wprost za serce temi słowy, braciszku, i jużbym się nie zdobyła na „surowy sąd.” Zresztą nie ja sądzę wypracowania konkursowe i proszę niechaj to przyjmą do wiadomości Gosposia z W. i Myszka Lizetka, w których imieniu również jak i w swoim pisze do mnie Koleżanka. Łamigłówki dobrze ułożone przyjmują się. Kochana Niezapominajko z nad Warty, dla czego tak długo milczałaś? Żądasz teraz ode mnie rzeczy, w której mimo najlepszych chęci, trudno dogodzić twemu życzeniu, ale sądzę, że z odpowiedzi redakcji do Konwalijki możesz domyśleć się prawdy. Czarna perełko, dzieci wysyłane na kolonie letnie drogę mają bezpłatną, ale nie dostają ubrania. Owszem, zarząd kolonii stawia nawet pod tym względem słuszne zresztą wymagania, którym niezamożni rodzice nie zawsze są w stanie zadość uczynić, i dla tego odzienie dla dzieci od lat 8 do 13 zawsze przyjmowane jest z wdzięcznością. Bielizna gruba byle cała, pończochy „nie podarte,” sukienki, są to rzeczy, których nie mają wszystkie dzieci, zapisane do wyjazdu, a bez tego pojechać nie można! Gdybyście wiedzieli co przy tym zapisie za ścisk, jaka prośba i niepokój malują się w oczach osób, podających imiona i papiery dzieci, tobyście zrozumieli pożądlivość, z jaką o zdobyciu potrzebnej dzieciom odzieży, marzy—kochająca was szczerze.

Golałka.

No! mam przecie choć jeden list, i to jaki. Powiem tak jak owa lwica z bajki „ja jednego, ale lwa,” bo ten list jest od Kozaka Sawy, o którym się tyle nasłuchiwałem od Golałki. Przechowywa ona na biurku żużel przez niego jej ofiarowany, a ponieważ mam zwyczaj zawsze coś brać do ręki, gdy rozmawiam, upomina mię przeto zawsze: „Józio, nie ruszaj, bo zepsujesz, a to od Kozaka Sawy. Skoro cię Golałka tak lubi, kolego to już też nie mogę i ja traktować cię obojętnie, a potem prawdę ci powiem, że się szczerze ucieszył twoim listem, bo już zaczynałem wątpić, czy kiedy jaki odbiorę. Prawda, mój Kozaku, że dużo starszy od ciebie i chyba nie będziemy nosili jednocześnie munduru realnego, ale to nie racya żebyś mnie miał tytułować panem. Dzielnym z ciebie chłopak i powodzenia ci życzę w gimnazjum, a że i ja jeszcze tornister dzwigam na plecach, więc kolegami jesteśmy i nazywaj mię po imieniu. Szczerze cię o to prosi.

Józio.